MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POLITYCZNO-SPOŁECZNY.

Rok II. Warszawa, 29 Kwietnia 1922 r. Nr. 17.

TREŚĆ NUMERU: W rocznicę.—*I. R.* Lewicowa praworządność. — *J. Zamorski* Merwin i Szarlitt o... Nietschem. — *A. Nowaczyński*. Zbyteczne zdumienie i konieczna baczność. — *K. Z.* Dlaczego tak na Kraków? — *A. N.* Puste orzechy. — *Dziadek.* A imię jego czterdzieści i cztery.—*A. N.* List St. Przybyszewskiego. Od Redakcji. Wśród książek.—*T. R.*



Cena numeru 40 mk.

W ROCZNICĘ.

Dwa lata mijają właśnie od chwili, gdy pos. prof. Stanisław Grabski na posiedzeniu sejmowej komisji spraw zagranicznych dn. 22 kwietnia 1920 r. złożył przewodnictwo komisji na znak protestu przeciw polityce wiązania się sojuszem z Petlurą i tworzenia przez Polskę niezawisłego państwa Ukraińskiego, jako polityce „szczególnie, wysoce niebezpiecznej dla przyszłości Rzeczypospolitej". W trzy dni potem, dn. 25 kwietnia wojska nasze rozpoczęły ofensywę na Kijów, dn. 7 maja Kijów został przez wojska polskie zdobyty, komunikat zaś z dn. 12 czerwca donosił, iż „przystąpiliśmy do ewakuacji Kijowa po uprzedniem zniszczeniu mostów na Dnieprze". Rozpoczął się odwrót, zakończony dopiero u wrót Warszawy, Torunia i Lwowa.

Wspomnienie wyprawy kijowskiej witane jest bardzo niechętnie przez tych właśnie, którzy przed dwoma laty uważali ją za moment przełomowy naszych dziejów, za fakt epokowy, nigdy niezapomniany, nieśmiertelny Gdy dziś wspomni kto na trybunie sejmowej o wyprawie kijowskiej, na lewicy podnosi się natychmiast wrzawa, padają okrzyki: „jeszcze pan

nie zapomniał?" („o tym wiekopomnym czynie" jak pisał w maju 1920 r. p. Ehrenberg), większość prasy zaś wszelkich dokłada starań, aby dyskusja na temat wyprawy na Kijów raz na zawsze usunięta była z porządku dziennego. Kilka miesięcy wystarczyło, aby cały obóz belwederski począł czynić rozpaczliwe wysiłki celem jaknajszybszego wymazania z pamięci ogółu wydarzeń, które w myśl wyrażenia p. Skulskiego „nieśmiertelnym czynem polskim będą dla historji".

Wysiłki te powiodły się w znacznej mierze dzięki temu, iż klęska przybrała tak ogromne rozmiary, że cała myśl musiała być skierowana wyłącznie na sposoby zaradzenia jej skutkom, nie zaś na badanie jej przyczyn. Dziś jednakże należałoby powrócić do zbadania historji tych wydarzeń, większą niemal mgłą tajemnicy okrytych, niż wyprawy kijowskie Bolesławów. Należałoby to uczynić choćby dlatego, że w myśl przysłowia „mądry Polak po szkodzie" dokładne poznanie własnych błędów jest najlepszym bodaj i najskuteczniejszym systemem pedagogicznym.

Jak dalece potrzeba ta daje się odczuwać, dowodzi fakt, iż do dziejów wyprawy kijowskiej powracano w ostatnich czasach kilkakrotnie w artykułach, zamieszczanych w miesięczniku wojskowym „Bellona", wydawanym przez „Wojskowy Instytut Naukowo Wydawniczy".

Szef oddziału Operacyjnego Naczelnego Dowództwa pułk. szt. gen. Stachiewicz w art. p. t. „Nasz system obronny na froncie wschodnim" wyjaśnia genezę wyprawy kijowskiej, twierdząc, iż cel jej był czysto defensywny i że kierowała nią „zasada obrony słabszego przez ofensywne bicie silniejszego, w chwili, kiedy znajduje się on „jeszcze w stanie nieskoncentrowanym i nieugrupowanym do walki". Pogląd ten usilnie był w swoim czasie szerzony, a są pisarze, którzy z tego punktu widzenia gotowi są uważać wyprawę kijowską za imprezę najzupełniej pod względem wojskowym udaną. Tak np. Wacław Sieroszewski twierdzi w broszurce p. t. „Józef Piłsudski", iż dzięki niej (wyprawie kijowskiej) odepchnęliśmy bolszewickie wojska tak daleko, że chmary ich, które miały być pod Warszawą w maju znalazły się tam dopiero w sierpniu. Prócz tego znaczna część walk odbyła się nie na terytorjum polskiem, lecz na Podolu i Polesiu wśród niezamieszkanych bagien, lasów i piasków".

Zdaje się jednak, iż optymistyczny ten pogląd nie utrzyma się—w świetle sumienniejszych badań. Pułk. Stachiewicz we wspomnianym wyżej artykule twierdzi, że „gdybyśmy nie byli błędnie ocenili położenia nieprzyjaciela i jego zamiarów i uderzyli na jego faktyczne główne zgrupowania nad Górną Dźwiną i Górnym Dnieprem, bylibyśmy, jeżeli działania zaczepne taktyczne dałyby powodzenie, wygrali wojnę wcześniej i na obszarach bardziej na wschód położonych.

Pogląd ten godzien jest baczniejszej uwagi choćby ze względu na stwierdzenie, że wyprawa kijowska podjęta była na podstawie „błędnej oceny położenia nieprzyjaciela i jego

zamiarów". Jeśli zaś chodzi nie o plan ogólny wyprawy kijowskiej, lecz o szczegóły jego wykonania, to i pod tym względem znalazłoby się wiele do zarzucenia. Pułk. St. Dąb-Biernacki, który sam był uczestnikiem wyprawy kijowskiej, w artykule pt. „Zagadnienie obrony", pomieszczonym w numerze „Bellony" za marzec r. b. przytacza wprost atak 1 Bryg. Piechoty Legjonów przez Kahorlik na Mironówkę i Olszowicę jako klasyczny przykład, jak *nie należy* przeprowadzać akcji oskrzydlającej, jeśli nie chce się narażać sił obchodzących „na oderwanie się od reszty sił i niebezpieczeństwo zniszczenia".

Jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, iż artykuły w „Bellonie", pisane przytem przez oficerów w służbie czynnej, muszą odznaczać się najdalej idącą powściągliwością i ostrożnością, jeśli chodzi o krytykę zarządzeń Naczelnego Dowództwa. Z konieczności pełno w nich zastrzeżeń i niedomówień.

Jak zaś mogą przedstawiać się wypadki z przed dwuch lat ludziom, którzy w ich ocenie nie potrzebują krępować się żadnemi względami. sądzić można chociażby z artykułu, pomieszczonego w swoim czasie w czasopiśmie „The New Statesman", reprezentującem opinję t. zw. „postępowych" kół angielskich. Wyprawa kijowska spotkała się tam z następującą oceną: „Z czysto wojskowego punktu widzenia była to najosobliwsza kampanja obronna, jaką zna historja. Popędzono na złamanie karku do wnętrza południowej Rosji, wtargnięto do Kijowa i podążono jeszcze daleko na południowy-wschód od Kijowa w kierunku Morza Czarnego. Zatrzymano się na linji dwakroć dłuższej od dawnego frontu, tworzącej wielki występ, który nie dałby się w żadnym razie utrzymać, nawet gdyby siły polskie były kilkakrotnie liczniejsze niż w rzeczywistości. Jeśli tak wyglądała akcja obronna gen. Piłsudskiego, jest on najbardziej nieudolnym generałem, jakiego znaleźć można poza granicami Chin".

J. R

LEWICOWA PRAWORZĄDNOŚĆ.

Przedewszystkiem dokument:

Naczelne Dowództwo
Szef Sztabu Generalnego
277/a. o. P.

Warszawa 16.9.1920.

Do
Pana Ministra Spraw Wojskowych
Generała-Porucznika Sosnkowskiego
(do rąk własnych).

Z rozkazu Naczelnego Wodza muszę donieść, że jak długo słuszność ciężkich zarzutów, podniesionych przez Naczelną Komisję Kontrolną brzeciw Biuru Prasowemu Nacz. Dtwa nie

będzie przez śledztwo sądowe udowodnioną, Wódz Naczelny zabrania panu Generałowi Wroczyńskiemu dostępu lub badania w jakikolwiek sposób czynności organów Naczelnego Dowództwa.

Szef Sztabu Generalnego
(—) Rozwadowski.
Generał – Porucznik.

Ministerstwo Spraw Wojskowych. Warszawa dn. 18 wrz. 20
Biuro Prezydjalne.
l. dz. 5968 / B P 20 T.

Do
Pana Generała Wroczyńskiego.

Z rozkazu Pana Ministra Spraw Wojskowych przesyłam do wiadomości.

Z. r.
(—) Szpakowski
pułkownik.

Od jurydystów wojskowych pragnęlibyśmy usłyszeć wyjaśnienie, jaka jest prawna a nawet fizyczna możliwość ukrócenia nadużyć jakiegokolwiek „organu Naczelnego Dowództwa". Komisja Kontrolna niema tam nawet „dostępu", nie może zatem powziąć nawet podejrzenia, któreby uzasadniło oddanie sprawy pod śledztwo sądowe. Sąd zaś, nie mając wniosku, nie może wdrażać śledztwa, a tem mniej „udowadniać słuszności zarzutów", których nikt nie jest w mocy stawiać.

Wynika stąd jeden wniosek, że ktokolwiek ma szczęście należeć do jakiegobądź „organu Naczelnego Dowództwa", staje ponad prawem, ponad społeczeństwem i nie jest zobowiązany do zdawania sprawy ze swego włodarstwa przed nikim. Czy nie prościej było powiedzieć, że ktokolwiek otarł się o Naczelne Dowództwo, nie podlega żadnej kontroli, nie jest odpowiedzialny przed nikim i nie podlega żadnym ustawom karnym czy administracyjnym. Jest to wprawdzie przywilej, z jakiego nie korzystali niegdyś członkowie żadnej dynastji panującej, ale, że Naczelne Dowództwo jest instytucją drogą sercom lewicowców, to ten przywilej jest charakterem postępowej demokratyczności i ktokolwiek śmiałby skromnie zapytać o jego prawne uzasadnienie, zdobędzie tytuł i charakter wstecznika, reakcjonisty, cudaka i wroga państwa polskiego.

Może tę zagadkę raczą nam rozjaśnić prawnicy lewicowi? Jest to zagadka „pryncypialna".

W konkretnym wypadku, który wywołał wydanie powyższego rozkazu, pragnęlibyśmy od Władz wojskowych dowiedzieć się, czy sąd wojskowy przeprowadzał śledztwo w sprawie Biura Prasowego Naczelnego Dowództwa, i ewentualnie jakie są wyniki tego śledztwa?

Jan Zamorski.

MERWIN i SZARLITT O... NIETSCHEM.

Redaktorem Kurjera Warszawskiego za lat pięć będzie niejaki Bertold Merwin, były pułkownik W. P. przyszły Kawaler Orderu Polonia Restituta i odznaki „für Tutti Militari". Na to już nic nie można poradzić. Żydek jest pracowity, skrzętny, sprytny, ma w domu telefon, sześć roczników „Litterarisches Echo", może dostarczać tygodniowo trzy fajne feljetony o europejskiej literaturze, sztuce, malarstwie, o kubistach, o Buddzie, o Einstejnie, o Bergsohnie, o Sakuntali, o Rabindranath-Tagore, o amerykańskim teatrze, o rozwoju sztuki filmowej, o poezji neokatolickiej i t. p. „W domu jego rodziców bywał często" Wojciech Dzieduszycki a on Bertold Merwin bywał często w Jezupolu u Dzieduszyckich... Osiem lat był na froncie i walczył za Polskę jak lew, co tydzień odnosił ciężkie rany do domu i znów wracał na front i znów się bił i strzelał na około siebie aż do skutku. Bertold Merwin poprostu całe ciało ma w ranach za Polskę i jako taki ma prawo pisać w Kurjerze Warszawskim co wydole tylko skompilować z „Litterarisches Echo".

Za miesiąc za dwa miesiące zacznie redakcja Kurjera dostawać telefony i kartki korespondencyjne tej treści mniej więcej, że dość już tych feljetonów Hoesicka, że Dębicki już się przeżył, dlaczego zeszłej Niedzieli nie było feljetonu p. Merwina? albo „dziękujemy za wczorajszy feljeton p. Merwina o pułkowniku Strusiu", lub czy to prawda że w Kurjerze pojawi się nowella p. Merwina z życia Traugutta?... Kartki podpisane będą zawsze po lechicku: Jadwiga, Leszek, Kinga, Zyndram poczta Maszkowice i t. p. Wobec tego redakcja Kurjera nabierze przekonania, że p. Merwin jest en vogue i że p. p. Dębicki i Hoesick istotnie się przeżyli. W przekonaniu tym stwierdzi ją jeszcze rodzina bł. p. Fajgi Kohn, najbogatszej paskarki z za Żelaznej Bramy, która to rodzina pewnego pięknego poranku przyniesie do administracji pisma klepsydrę na całą stronę i zapłaci w gotówce ½ miljona. Aby mieć bowiem klepsydry Kohnów, trzeba mieć na przynętę feljetony pułkownika Merwina. Usadowiwszy się już mocno w siodle i usunąwszy „przeżytych" krytyków zacznie redaktor Morwin wciąhać swoich „dla ożywienia pisma". W r. 1923 będą się drukowały kolejno: cykl sonetów p. Jagienki Mortkowicz o „Hortensjach" nowela Anatola Sterna i studjum „Od Deotymy do Zuzanny" Ostapa Ortwina, pod którym to ukraińskiem pseudonymem jakby wziętym z „Zamku Kaniowskiego" czy z „Marji Malczewskiego" kryje się p. Katzenellenbogen... Wonczas już chefem działu ekonomicznego w Kurjerze będzie prawdopodobnie któryś z p. Biegeleisenów...

Sic itur ad... Berliner Tagblatt...

Obecnie jest p. Merwin jeszcze w fazie wgryzania się, kaptowania sobie, zyskiwania dla siebie, przymilania; skromny, układny, grzeczny, pokorny, przyjemniaczek. Zaczepiany bezecnie przez „Myśl Narodową" napisał długi list tak wzrusza-

jący, że każdy musiał się spłakać jak bóbr przy czytaniu. O rodzicach i o synku. O Polsce i o swoich kampaniach wojennych. Głaz szelma by się wzruszył, choć coprawda i końby się uśmiał. Świeżo zajął się i zaopiekował p. Merwin Nietschem. Zresztą nie on sam. Jednego i tego samego tygodnia miał o Nietschem konferencję inny żydek galicyjski p. Szarlitt i feljeton napisał p. Merwin. Wydawcą polskim Nietschego jest bowiem znany Mace-nas literatury p. Mortkowicz a na składzie zostało jeszcze kilka tysięcy nowego wydania. Idzie tedy telefon po żydkach piszących: Hallo. Tu Mortkowicz... Pan Szarlitt? pan Menkes? p. Wasserkopf? Pomóżcie mi zepchnąć Nietschego! Nietschego? on jest Niemiec. Pan wisz panie Kuba. To nie towar na dzisiaj. Czekaj pan. Co pan teraz wyskakuje z niemieckim filozofem? Co jest z niemieckim filozofem? Czytaj pan przedmowę Berenta, jako rzecze Berent! Zróbcie z niego Polaka, zróbcie z niego Francuza to pójdzie!.. Hallo! Zrobi się. A giten Tagg. Bądź pan spokojny. Servus Kubuś..

I p. Szarlitt ma conference. O polskości Nietschego. Pan Szarlitt jest specjalist od Nietschego. Zna „całą jego rodzinę". Od siostry nieboszczyka ma prima sorta informacje z ręki do ręki. W Weimarze p. Szarlitt długo siedział i wszystko się wywiedział. Nietsche czuł się polakiem z krwi i kości... Grał na fortepianie tylko Chopina, czasami tylko Moniuszkę i Szopskiego... Najlepiej to on lubił zrazy z kaszą i sztukamięs z ćwikłą. A styl pisarski? Styl to on wziął ze Słowackiego i Krasińskiego. „Na nich wzorował swoją formę pisarską". A skąd ich znał? Z tłomaczeń Lipinera. Choć Lipiner przetłómaczył tylko „Pana Tadeusza", ale Nietsche znał Słowackiego i Krasińskiego z tłómaczeń Lipinera i „na nich wzorował swoją formę pisarską". A jakiego to wyznania był Lipiner? No oczywiście starozakonnego. Więc skąd się wzięła polskość Nietschego? Przez pośrednictwo Lipinera! Więc co z tego wynika szanowne audytorjum p. Szarlitta? Oto że bez żydów obejść się nie można.... *Ergo, że* w niedzielę sklepy żydowskie powinny być otwarte, a Aszkenazy powinien być ministrem spraw zagranicznych.

Tego samego tygodnia Bertold Merwin daje feljeton o Nietschem. W ostatnim roczniku „Litterarisches Echo" jest bardzo dużo o Nietschem. W przedmowie do „Tako rzecze Zarathustra" pisze Berent, że Nietshe czytywał dużo Montagne'a, La Bruyera, La Rochefou-caulda, nawet Woltera i Berent delikatnie odgranicza orli szybujący polot fantasterji Nietschego o „nadczłowieku" od ideologji pangermanistów o Herrenvolku i „blonde Bestie" i t. p. Podchwytuje to w lot sprytny żydek lwowski i grubymi farbami fałszując przemalowuje Nietschego na Francuza. P. Merwin jest teraz fanatycznym frankofilem. W r. 1917 był jako Kriegskorespondent pod Verdun. Ale nie po stronie francuskiej, a po pruskiej, pospołu z umundurowanymi żydłakami berlińskimi pisywał korespondencję do lwowskiej godzinówki o rychłym upadku

Verdun. Teraz p. Merwin nie tylko Prusaków ale Niemców znosić nie może i szkalowaniem kultury niemieckiej, z której ssie wszystką swą erudycję wgryza się w zanadrze i w łaski czytelników „Kurjera Warsz.” Przy okazji łasi się żydeczek i Berentowi: „jak to przepięknie wyraża Berent”... A Macenas Mortkowicz zaciera ręce, że Nietsche „znów idzie” w księgarni... jako Francuz i Polak...

Czytelnicy zapewne zadziwią się dlaczego takim podrzędnym insektom jak Szarlitt, Merwin, Wasserfisch, Herzpinkiel i t. p. poświęca się tutaj wiele uwagi. Otóż dlatego, że prasa polska obecnie staje się prasą istotnie stabilizującego się państwa. Wobec tego należy się liczyć z szybką i energiczną penetracją żydostwa w prasę i w literaturę. W przeciągu 3 lat zanotować już możemy przeszło 100 żydów nowych, którzy weszli w prasę i w literaturę warszawską przeważnie pod pseudo i kryptonimami ochrzciwszy się czasem na godzinę przedtem. Aryjczycy są próżniaki, lenie, wałkonie lechonie, nic się nie uczą, do niczego nie poczuwają; chaluce zaś inteligentne, językami władające, po nocach dokształcające się, ławą napierają i naciskają. Opanowanie prasy warszawskiej oto cel ich offenzywy wewnętrznej najbliższy. W Berlinie, Wiedniu, Budapeszcie przy minimalnym procencie żydostwa prasę całą opanowało żydostwo doszczętnie. To jest przykład odstraszający. Czem to grozi w Warszawie przy 15% żydów w r. 1918, a przy 18% żydach obecnie w r. 1922? Nie możemy dopuścić do tego, aby przyszły syndykat prasy warszawskiej wyglądał tak jak wiedeńska Concordia o której powiedziano, że jest to „ein litterarischer Verein in dem kein Litter-Arisches Blutf fliesst...”

W Warszawie na razie czysto żydowską redakcję mają tylko „Nasz Kurjer” i nasz „Kurjer Polski”; nawet „Kurjer Poranny” i „Robotnik” odczuwając niebezpieczeństwo naszego położenia chronią się przed zbytniem zawżydzeniem.

Na złą drogę więc wszedł grand old gentleman naszej prasy, organ City i gentry „Kurjer Warszawski”, kiedy powodowany apetytem na tłuste nekrologi Kohnów i inseraty Lewych wpuścił owieczkę z rasy takich merwinosów do swojej owczarni; ta owieczka bowiem pokaże furteczkę innym...

A. Nowaczyński.

ZBYTECZNE ZDUMIENIE I KONIECZNA BACZNOŚĆ.

Jedno z pism warszawskich uznało za rzecz zdumiewającą, że pod odezwą sjonistów lwowskich, redegowaną w języku hebrajskim, w żargonie i w języku polskim między innemi podpisali się—niejaki Dr. Filip Schleicher, wiceprezydent miasta Lwowa, znany dotąd jako wyłącznie przyznający się do narodowości polskiej, oraz niejaki Wiktor Chajes, członek wielu organizacji narodowych.

Zdumienie polskiego pisma sugerowało czytelnikom, że przez to nagłe wykrycie pod „narodowcami polskimi" żydów—stała się rzecz niezwykła, niepodobna do pomyślenia, zdumiewająca, a przecie naprawdę nic, w tem co się stało zdumiewającego dla psychiki naszych krypto-żydów—nie zaszło.

Żyd więc może udawać, że nie jest żydem! Jest to w chrześcjańskiem pojęciu oszustwem, ale Choszen Chamiszpat, § 227, art. 26, wyraźnie na ten skrupuł gojowski odpowiada: „Nieżyda wolno podejść, albowiem nie powiedziane w piśmie, że nikt niema **brata swego** oszukać („Dusza Żyd.", str. 67), ale dla żyda tylko żyd jest bliźnim", to znaczy jest „ach" (brat), „karow" (bliski, sąsiad), „rea" (towarzysz); nie jest nim „goj" (poganin), „nokri" (wróg), „akum" (poganin, wróg)—(„Dusza Żyd.", str. 46).

Najwidoczniej i dla panów Schleichera i Chajesa, „narodowców polskich", nastał „moment krytyczny". Dotąd obaj potrzebowali należeć do polaków; p. Filip Schleicher, wiceprezydent bohaterskiego Lwowa, duszącego się obecnie w zalewie żydów bolszewickich (co przeciw nim zdziałał w obronie polskości Lwowa p. Schleicher?), był nawet wysuwany jako kandydat na stanowisko komisarza do walki z drożyzną (t. zn. głównie z żydami!). Obecnie obaj—i nasi i odnaszych—„narodowo-polscy" krypto-żydzi uznali, że mogą sobie nie robić ceremonji ze swoją „polskością"; znak to, że uważają, że żydowstwo już zwyciężyło, albo też, że jest już bardzo bliskie zwycięstwa!

Mniejsza zresztą o tę stratę, po której Naród polski lżej się poczuł. Sprawa ma rozleglejszy odpowiednik w całej Polsce. Każde miasto i każdy powiat; każdy urząd wszystkich departamentów wszystkich ministerstw; każdy pułk wojska polskiego; sztab generalny; dyplomacja; sądy; towarzystwa polskie—wszelakie, naukowe, nauczycielskie, handlowe; policja; każda nieomal szkoła polska; literatura, sztuka, nauka; publicystyka zastraszająco; w pierwszej mierze Uniwersytety; zgoła wszelka komórka życia społecznego w Polsce ma swoich Schleicherów, Chajesów, Aszkenazych, Merwinów, Feldmanów, Haeckerów, Diamandów, Libermanów, Perlów!

I otóż potrzeba, aby polacy zapytali i siebie i ich: Jak długo jeszcze będą oni potrzebowali należeć do polaków? W jakiej zaś chwili podpiszą odezwę, w której się zsolidaryzują z wrogami Polski? Bo trzeba sobie uświadomić, że co innego jest być polakiem, a co innego należeć do polskiego społeczeństwa czy tylko do państwa. Polska ma swoje mniejszości narodowe. Wolno żydom istnieć w Polsce z pełnią praw; istnieją w niej z tą pełnią praw i z bogactwem przywilejów w dodatku; mogą być żydami! Pocóż więc dążą do tego, aby uchodzić za polaków? Jaki cel tej złowróżbnej maskarady? Czy może powstanie Kamorry, oplątującej wedle planu życie polskie, aby zaginęło zduszone, zbezczeszczone, przetkane uprzednio i przeżarte przez żydostwo?

Niech więc żydzi stają się polakami, ale z ducha! z ukochania wielkiej, bohaterskiej przeszłości dzielnego i niezwykłego narodu! z ukochania wielkich ideałów Kordeckiego, Mickiewicza, Trauguta!

Ale pocóż — nie stawszy się polakami z ducha — dążą z drapieżną pożądliwością po zaszczyty, po wpływy, po prawo kierowania Polską? Niech mówią—zgodnie z prawdą—że chcą Polską kierować, jako żydzi! Ale wówczas nawet barania powolność polska wzburzy się i wybuchnie pasją, zmiatającą ich z urzędów, z zaszczytów, z wpływów! Więc przeliczni Aszkenazowie, Schleicherowie, Merwinowie, Chajesowie i ilu ich tylko jest na tym pięknym bożym polskim świecie—wszyscy są, wszyscy potrzebują być obecnie polakami! aż do chwili, w której lepszy, niż polskość, interes lub nieostrożność nie zdradzi wilka pod baranią skórą! Ale rasa polskich „baranów" jest niewątpliwie bardzo zdrowa i silna!

O to chodzi, aby przestać wierzyć tym ludziom, którzy z Talmudu wyszli, ale go się publicznie nie wyrzekli! aby wyświetlić co uchodzący i traktowany jako polak „równocześnie myśli sobie w głębi duszy"!

K. Z.

DLACZEGO TAK NA KRAKÓW?

Motto: „Wszyscy Kretyńczycy są urodzonymi kłamcami".
Epimenides, Kreteńczyk.

W stolicy Pasko-Piastów i Popielów, Dąbrowskich i Klemensiewiczów, Kanarków i Gagatków, Haeckerów i Sobelsohnów, w tym (jak się wyraża w swem hommagium świętalnem p. Witold Noskowski): „Düsseldorfie nasadzonym niejako na Weimar", zdarzył się w tygodniu świątecznym incydent, rozświetlający nagle jakby wybuchowe magnezjowem światłem ten punkt, to miejsce gnilne, którego „zaistnienie" w Krakowie usprawiedliwia najostrzejszą kampanję, jaką należy prowadzić z Krakowską gangreną polityczną i malarją moralną.

Istnieje w Krakowie przybytek „Sztuki", własność kilku żydków i znanego urwipołcia i suwerena zarazem, nouvoricha i grastaquera niejakiego Marjana Dąbrowskiego, przed wojną naciągacza i obiboka kawiarniego, obecnie potentata, leadera, figury! Oficjalnie: Teatr pod nazwą Bagatela, w Krakowie nazywany popularnie: bajzel pod dwoma jajkami. „W teatrze" tym jak rok długi grają pikantne i pieprzne pornografie i porcoklisze wiedeńskich i budapeszteńskich żydłaków, zawsze z łóżkiem na scenie, z damami wydekoltowanymi po pępuszek, z witzami i konceptami a la Mikosch i Kaftal. Jednem słowem jest to pendant do Krakowskiego „Bociana" jedynego organu, który przetrwał w „Nowych Atenach" byt kilkudziesięciu pism literackich i artystycznych. Bums teatralny spółki „Stieglietzów" i p. Dąbrowskiego cieszy się olbrzymią frekwen-

cją żydowstwa, protekcją „Czasu“ i Naprzodu (z tajemniczych względów alkowiano-kulisowych), robi kokotowo-kokosowe interesa ale oczywiście cochoneriami swego nieco sutenerskiego repertuaru wywołuje oburzenie w mieście i zbiorowe odruchy protestu.

Otóż aby położyć kres i zaszachować propagandę przeciw sobie i swemu bumsowi wpadł p. Dąbrowski ze swymi żydkami na pomysł, aby w tym właśnie bajzlaku, gdzie się gra Morfium, Ósmą żonę Sinobrodego i t. p. bulwarowe seleries w wielki tydzień wystawić oratorjum „Siedem słów Chrystusa“. Niema miasta w Europie, któreby się zdobyło na większy rekord cynizmu i bluźnierstwa, w którem by tolerowano podobny wyskok łajdackiej i łapserdackiej spekulacji. W teatrze zamtuzowym, gdzie ze sceny jak rok długi podrażnia się seksualizm prowincjonalnej gawiedzi, w teatrze sprosności i plugastw wystawia Towarzystwo Oratoryjne: „Siedm Słów Chrystusa“ z chórami i orkiestrą!

To się z niczem porównać nie da. To jest tak jakby we Wiedniu u Ronachera lub w „Hoelle“ wystawiono Brahmsa „Requiem“. To jest tak jakby w Paryżu w „Folies Bergeres“ wystawiono Stabat Mater Dolorosa Rossiniego. Ponieważ w Warszawie takiej spelunki teatralnej a la La Bagatelle suwerena Dąbrowskiego obecnie niema, więc żadnego analogon w Warszawie wyszukać się nie da. Warszawskie dawne czy nowe „Nowości“ są i były tem mniejwięcej w stosunku do krakowskiej „Bagateli“, czem w Wiedniu salony księżnej Pauliny Metternich — do „Spiegelsaalów“ Frau Katharina na .. Spiegelgasse...

I figiel czy witz bandy spekulantów się powiódł. W „małym Rzymie“, w mieście, gdzie na Wawelu trumna ze świętym Stanisławem, gdzie kościołów relikwiarzy kilkadziesiąt, gdzie klasztory i tradycje arcykatolickie, w mieście Matejki i Wyspiańskiego „Siedm słów Chrystusa“, oratorjum! wykonano.. w Bagateli! Stado bydlątek wypełniło salę kabaretową po brzegi... Zaprotestował tylko oficjalnie książę biskup Sapieha, który od lat skazany jest na przebywanie w tym ideowo zadrzumionym zakątku Polski. Szyb w gmachu i zębów dyrektorowi nie wybito... Prasa zdawała nawet sprawozdania...

Aliści nie na tem koniec. Kiedy przeciw temu zbrukaniu i sponiewieraniu świętości wystąpił jeden jedyny „Głos Narodu“, wystąpił odważnie i kilkakrotnie, odpowiedziała mu na to lejbszmata dziennikarska tegoż suteneverena Dąbrowskiego rewelacjami wprost horrendalnymi. W numerze Illustrowanego Kurjera Krakowskiego z dn. 20 kwietnia wydrukowano artykuł p. t.: „Groby Pobielane“, w którym może wbrew intencji pisemka faryzeuszostwo Krakowa zostaje zdemaskowane w sposób wprost straszny. Cytujemy dosłownie artykuł krakauerskiego piśmidła, ażeby Warszawa i Polska cała dowiedziały się wreszcie, dlaczego prowadzimy taką kampanję przeciw temu miastu, doszczętnie moralnie i duchowo zgangrenowa-

nemu. Oto jak odpowiada i co opowiada „ludowiec", paskarz prasowy, deprawator i szynkarz z Bagateli swym antagonistom:

„Niedobrze jest — według tych faryzeuszów — że Tow. oratoryjne wykonywuje utwory muzyczno-religijne w teatrze (dwa lata temu robiło to samo bez niczyich oburzeń). Ale czy w takim razie dobrze jest, że *na chórze kościoła św. Piotra* śpiewają pp. Jefimcewa i Kniaginin, bardzo zresztą sympatyczni i zdolni *śpiewacy-żydzi?* Panowie z „Głosu Narodu" mogą o tem nie wiedzieć; oni pilnie śledzą tylko „zgorszenie" w teatrach, więc chodzić do kościoła mogą nie mieć czasu. Gdyby mieli, toby wiedzieli, że *w kościele Marjackim na chórze grali i grają muzycy-żydzi,* bardzo zresztą dobrze, co też nie ostudza pobożności wiernych.

Ale są jeszcze regiony artystyczne, możemy pójść dalej. Gdyby moraliści z „Głosu" i ich protektorzy zajmowali się rzeczywiście więcej sprawami kościoła, toby ich bardzo raziło, że *dostawcą hurtownym win mszalnych dla całej djecezji* jest od lat 20 p. Bochenek, dobry widocznie kupiec, *ale — żyd.* A czy nie raziłoby ich jeszcze bardziej, że od lat wielu monopolistami w handlu en gros *dewocjonaljami katolickiemi są trzy firmy żydowskie na Kaźmierzu.* — Po obrazki święte, szkaplerze, koronki, różańce, krzyżyki, medaljony i t. p. do tych to żydów udają się stale zarówno detaliczni kupcy katoliccy, jak klasztory, księża, zakonnicy, mniszki, od nich wszystko biorą na odpusty do poświęcenia. Czy dlatego tylko, że żydzi sprzedają taniej? Jakże są tutaj „rzeczy święte" traktowane?

Ale to traktowanie ma swoją tradycję, która się nie urywa. Przed laty wszystkie *modlitewniki, książeczki do nabożeństwa drukował — z „imprimatur" biskupiem — bł. p. Himbelblau,* starozakonny, zresztą bardzo zacny i uczciwy. A w niedawno założonej *dla fabrykacji dewocjonaljów spółce „Ryngraf"* mnóstwo akcyj znajduje się *w rękach żydowkich,* a wśród dyrekcji, syndyków i t. d. spółki znajdują się żydzi!!..

Tyle krakowskie piśmidło.

To jest nowoczesny Kraków! w dzisiejszej fazie!

Miasto, do którego Hindenburga zapraszał pokornie Beaupré. Miasto, po którem Wilhelma II obwozili Kossak i Mycielski. Miasto, które flagowało po upadku Antwerpji. Miasto „Teki Stańczyka" i N. K. N-u, Bociana i Bagateli, Haeckera i Sobelsohna, obłudy i fałszu, hypokryzji i faryzejstwa, tchórzostwa i podchlebstwa, kompromisów i geszeftów.

Mury są i zostały święte, kąty i zakamarki czarujące. Kościoły jak w Assyżu, ceremonje w nich przepiękne, okolice, położenie, Kopiec, Krzemionki, dolina Kmity, Panieńskie Skały, Wola Justowska, Tyniec, Zwierzyniec, Babia Góra w śniegu widziana z Wawelu, Wisełka wężowata... jakaś procesja po

murawie przykościelnej... żydzi w atłasach w piątek wieczorem, idący do bóżnicy... młodzież skautoska, ćwicząca w Parku Jordana... szkółka cieszyńska w Muzeum przed obrazem Matejki... grupa dziadków na Siennej przed Mons Pietatis... baby bronowickie i przegorzalskie w dzień targowy w słońcu na Rynku... siostry Norbertanki idące parami na spacer... cheder szwargocących żydowskich dziecek, rozsiadły w słońcu nad brzegiem Wisły... chłodne podwórze Bibljoteki Jagiellońskiej... Kanoniczna, kiedy pusta... stara Ruchla, sprzedająca makakigi we wspaniałym czepcu... hejnał... zlatuje na ziemię chmara gołębi między św. Barbarą a Marjackim... sypią im okruszki przechodnie... To wszystko cud!... cudne... wieczne... nieprzemijające... i to zostanie...

I ludzie sprawiedliwi się jeszcze znajdą. I to wielu...

Ale to co wypłynęło na powierzchnię w ostatnich latach to nowe lokalne państwo... to drańistwo... to wydzielina gnilna rozpadającej się Austerji, to Lodomeryjskie, Oesterreicherskie, to wszystko Gałeckie bardzo Gałeckie, Dąbrowskie bardzo Dąbrowskie!...

W kościele św. Piotra na chórze Jefimcewa i Kniagini... szkaplerze na piersiach dziecięcych ze Stradomia... „Ryngraf“ żydzi... „Złoty Ołtarzyk” Himmelblaua... Haecker jako Sodalis Polonus... „Siedm słów Chrystusa” w Bagateli!!!...

To wszystko świństwo, przejściowe świństwo, powojenne... I to musi szczeznąć. I Kraków się odaustryjaczy... odżydzi, spolszczy!

W to trzeba wierzyć.

W to wierzyć musi każdy, nawet ten kto „smutny i sam pełen winy...”

A. N.

PUSTE ORZECHY.

„DRZEWA BIAŁOWIESKIE“.

Mówią, że o opanowanie puszczy Białowieskiej stara się via żyd Krüger, Niemiec Stinnes, ów słynny rekin przemysłu niemieckiego. Mówią na pewno, że toruje im drogę „szabesgoj“ z nazwiskiem hetmańskim, tak jak innemu berlińskiemu żydowi Prenowi, toruje drogę inne nazwisko również hetmańskie -- do lasów polskich i wołyńskich.

Twierdzą, że interes Białowieski nie jest tylko interesem pieniężnym, ale i niemiecko-politycznym, bo puszcza jest to znakomity punkt do ewentualnej obrony od wroga wschodniego, a posiadanie jej jest faktem opasania Polski. Dlatego spółka może awansować najwyższe ceny po za wszelką konkurencją.

Podając wiadomości o tych zamiarach, dodajemy, że w razie dalszych petraktacji rządu z tymi Żydo-Niemcami wypiszemy dokładnie owe nazwiska hetmańskie.

ORYGINALNE HASŁO WYBORCZE.

Rzecz dzieje się w Krześnie, w ziemi Siedleckiej. Agitator przemawia do ludu:

„Nawołują was do praworządności. Co to jest praworządność? Jest to rząd prawicy, wrogi ludowi. My chcemy rządu leworządnego. Słuchajcie! co wam kazał zrobić rząd praworządny? Czy nie kazał gospodarzom postawić ...ustępów? Na co wam ustępy?

Głosy. Racja, niepotrzebne!

Agitator. Otóż w programie naszego stronnictwa nie ma żadnych ustępów. Albo wolność albo ustęp. Precz z ustępami.

Głos ludu. Precz!

Dziadek.

LIST OTWARTY STANISŁAWA PRZYBYSZEWSKIEGO

(Mniejwięcej 4 maja b. r. mają być otwarte w Gdańsku pierwsze klasy powstającego szczęśliwie Gimnazjum Polskiego. Lwia część zasługi w realizacji tego bardzo ważnego w przyszłości, narodowego posterunku nad Bałtykiem przypada także znakomitemu pisarzowi, który ofiarował na ten cel grosz wdowi, zbierany podczas jubileuszowych przedstawień dla jego uczczenia. Obecnie St. Przybyszewski zajął się gorliwie i z pasją skollekcjonowaniem małej podręcznej bibljoteki szkolnej. Pierwszy dar złożyła firma Gebethner i Wolff, przesyłając obfity zapas książek na ręce jubilata.

Otóż St. Przybyszewski zachęcony tem ogłasza teraz apel gorący do wszystkich innych firm księgarskich oraz do autorów rówieśników. Z braku miejsca w naszem piśmie nie możemy drukować całego listu, który utrzymany jest w serdecznych, porywających słowach. Wzywa więc do ofiary na rzecz tej bibljoteki firmy: Połonieckiego, Arcta, Altenberga, Wł. Kościelskiego Instytut Wydawniczy, Krakowską Spółkę Wydawniczą, Towarzystwo Nauczycieli Szkół Wyższych, firmę Gubrynowicz i t. d., potem kolejno zwraca się z inwokacjami do autorów swego pokolenia, wzywając ich do nadsyłania książek i przyjazdu na dzień otwarcia Gimnazjum Polskiego. Wreszcie pisze co następuje):

...A teraz do Ciebie się zwracam — Adolfie Nowaczyński— och! jakby Cię nazwać. Czasami Cię kocham—czasami jestem na Ciebie wściekły, ale ponad wszystkiem góruje w mej duszy to przeświadczenie, że jesteś jednym z najniezwyklejszych talentów, jakie Polska wogóle wydała. Tylko nie myśl, żebym Cię chciał kaptować i chciał bawić się piekielnie śmieszną rolą, z jaką ś. p. Strindberg z niesłychaną powagą wydawał patenty na idjotów lub genjuszy (do tych ostatnich ja miałem ciężkie nieszczęście przynależeć, co mnie dotychczas jeszcze prześladuje) nie! nie! Jeżeli się do Ciebie zwracam, to jedynie dlatego, że istotnym ojcem duchowym tego polskiego Gdańska, jakim jest obecnie—jesteś Ty! Dobre piętnaście lat temu, kiedym czytał w „Kraju" petersburskim Twój entuzjastyczny artykuł o Gdańsku—o twej wizycie u Giełdzińskiego — prawda? Sam może nie wiesz, jakie zasługi naokoło polskiego Gdańska położyłeś— ja Ci jeszcze kiedyś o tem długo i szeroko napiszę, bo widzisz, chciałbym, żeby to wszyscy wiedzieli Na razie nad tem rozwodzić się nie będę, bo czas nagli i miejsca mam mało

Słuchaj! wybaczę ci wszystko i to, że w Twoim zresztą bardzo pięknym artykule o mnie w „Rzeczypospolitej" nazywasz mnie „staruszkiem", a ja „dopiero" skończę 54 rok życia, wybaczę Ci, że każesz mi pochodzić z pod Pleszewa, a ja pochodzę z pod Kruświcy (nie czytałeś, że wezbrane Gopło stodołę mojego ojca zabrało?) i zdajesz się nie wiedzieć, że miałbym prawo pieczętować się tym samym herbem — he! he!, co Twój kolega Adam Siedlecki, to znaczy Grzymała, a ty mnie bezustannie nazywasz Przybyszem - (to wygląda na jakiegoś intruza, a—a...) Wybaczę Ci nawet to najprzykrzejsze, czem mnie pewna partja polityczna od kilku lat prześladuje, a mianowicie, żem uległ Krakauerskim wpływom, podczas gdy ja myślałem w najświętszej wierze, iż lepiejbym nie mógł się Polsce przysłużyć, jak tem co zrobiłem). Wybaczę Ci, że nic o tem nie wiesz, żem bardzo rychło się spostrzegł, iż jestem na fałszywej drodze i już nic „de politicis" nie pisałem, jak również to, że zdajesz się nic o tem nie wiedzieć, iż w „Kurjerze Poznańskim" dałem swego czasu obszerne wyjaśnienie co do mojego stanowiska podczas wojny. To wszystko Ci z rozkoszą wybaczę, jeżeli zechcesz sobie uprzytomnić, że właściwie Ty, tak Ty jesteś inicjatorem tego, co się tu teraz w polskim Gdańsku dokonuje. W „Petershagen" dzielnicy Gdańskiej, gdzie to nasze gimnazjum położone i urządzenie jego na wykończeniu—drzwi na oścież otwarte—oczekujemy dostojnych, bardzo dostojnych gości. Tyś, mocą swego niesamowitego talentu, możny Pan; wiem, że kochasz wielki magnacki gest, wiem również, że dużo tu dla naszego dziecka zdziałać możesz i jeżeli komu przynależy wielce dostojny zaszczyt je pierwszemu oglądać, to Tobie. A dziwne, jak mało kto wie, że Ty pierwszy jąłeś majaczyć o Gdańsku, zaczem się komu o nim śniło. Niech się teraz dowiedzą. A to wiem, że na te uroczyste gody z próżnemi rękoma nie przyjdziesz: Zwróciłem się w tem piśmie jedynie do tych, z którymi pozostawałem w bardzo bliskiej, albo też luźnej styczności—ale ilu jest takich, których nie mogę imieniem i nazwiskiem wymienić, a przecież wiem, mam to głębokie przeświadczenie, że i oni pragną uczestniczyć w tem wielkiem święcie, które nam przypomni czasy Jagiellończyka, Zygmunta Augusta, Batorego... Przyjdźcie — przyjdźcie wszyscy — na oścież drzwi otwarte—odświętne nasze szaty na Wasze przyjęcie — serca nam biją z lęku na myśl, czy dość godnie będziemy Was mogli przyjąć—o jednej rzeczy tylko nie zapominajcie: *chrzestne dziecko, aczkolwiek królewskiego rodu — ale ubożuchne.*

OD REDAKCJI.

Nie wydrukowaliśmy z powodu braku miejsca odezwy Legji Obrony Konstytucji, zresztą pomieściły ją wszystkie dzienniki narodowe. O jej pożytecznych i poważnych celach „Myśl Narodowa" pomieściła już przedtem artykuł wstępny

p. I. O. Grabowskiego. Przypominamy, że biuro Zarządu Głównego L. O. K. czynne jest codziennie w Warszawie od 4 do 6-tej. Miodowa 14. lokal Rzemieślników Chrześcjan, telefon 403 dawny.

Dokończenie artykułu „Zamki na ludzie"—w następnym numerze.

Redakcja.

WŚRÓD KSIĄŻEK.

S. Włoszczewski.—Kasy chorych, a doktryna socjalistyczna. (Studjum krytyczne).

(Warszawa. 1922. Nakładem Księgarni Kroniki Rodzinnej. „Bibljoteka Naukowa Ruchu Chrześcijańsko-społecznego" Nr. 1. Str. 61).

Ustawą z dnia 19 maja 1920 r. wprowadzone zostało na terenie Rzeczypospolitej przymusowe ubezpieczenie robotników i pracowników na wypadek choroby. Na ukształtowanie się tej ustawy przemożny wpływ mieli podówczas socjaliści, nosi ona przeto piętno doktryty socjalistycznej; zmierza do szerokiego, w granicach prawa uspołecznienia jednej dziedziny kulturalnego życia człowieka. do ograniczenia wolności indywidualnej w tej dziedzinie do absurdu.

W całej ustawie czerwoną nicią przewija się tendencja przemycania pod tym czy innym płaszczykiem pozornych korzyści czy to dla szerokich mas, czy to dla samej instytucji Kas Chorych, zasady uspołecznienia gdzie się da, co się da i ile się uda. Gwoli doktrynie pogwałcono głos zdrowego rozsądku, podciągnięto pod jeden szablon najróżnorodniejsze kategorje pracujących, poczynając od szerokich warstw robotniczych istotnie potrzebujących przymusu ubezpieczeniowego, kończąc zaś na dyrektorach wielkich firm i zakładów przemysłowych, którzy jak zarówno większość z pośród inteligencji pracującej, dają sobie i dawać będą naogół radę w czasie choroby, a którzy z tych czy innych względów korzystać z Kas Chorych, źle działających, (a tak być musi jeszcze sporo lat, zanim organizacja kas się ustali) nie będą, a tylko narzekać i przeklinać będą nienawistny przymus ściągania z nich opłat na rzecz Kas Chorych.

Socjaliści utrzymują, że dla pewnych kół ubezpieczeniowych taki przymus wyda się nawet przykrym, to niech się te koła przyzwyczajają do rzeczy przykrych, których w „sprawiedliwym" ustroju socjalistycznym napewno będzie o wiele więcej i to na każdym kroku.

Usunięto i uniemożliwiono wolny wybór lekarza, nakazując choremu korzystać z porad lekarza wskazanego przez urzędnika Kasy, bez względu na to czy żywi do niego zaufanie (czynnik tak wielkiej wagi, częstokroć podkreślany przez siły fachowe) czy też nie. Jednem posunięciem pióra przekreślono działalność powstałych przed wprowadzeniem ustawy lokalnych fabrycznych lub samorządowych (miejskich i t. p.) kas pomocy lekarskiej pozbawiając korzystających z takowych dobrej pomocy leczniczej na rzecz gorszej, przez rządową Kasę Chorych udzielanej. I wreszcie metodę tworzenia Kas wybrano według nakazów uspołecznienia: jedną kasę dla wszystkich, wszystko jedno z jakiego zawodu, w jakim stopniu się narażających i jak z Kasy korzystających, według jednego szablonu, na zasadach najszerszej centralizacji. Z Kas Chorych uczyniono instytucję podwładną biurokratycznym urzędom, usiłowano skrępować ich samodzielność specjalnymi przepisami, odebrać im podstawy samorządności. W Kasie scentralizowanej zapanował nieznośny biurokratyzm, stąd poszły masowe narzekania na niewypłacanie w porę zasiłków, na brak lekarstw, na ogonki, na złe i nieuprzejme traktowanie chorego.

Nawołuje do tego w swej rzeczowej i w sposób zajmujący napisanej pracy p. S. Włoszczewski, wykazując błędy ustawy i podając sposoby jak instytucję Kas Chorych można i należy zreformować w myśl istotnych wymagań życia kulturalnego. Z pracą tą winien się zaznajomić każdy inteligent pracujący, każdy światły robotnik, każdy — kto widząc wady instytucji powoływanych do życia z zarodkiem rozkładu już w pierwszej chwili istnienia, nie chce pozostać obojętnym widzem, lecz poczuwa się do obowiązku wzięcia udziału w uzdrowieniu stosunków zagrażających ich normalnemu rozwojowi.

Praca p. Włoszczewskiego niewątpliwie się przyczyni do należytego wyjaśnienia jednego z zagadnień polskiego życia społecznego. które chwila bieżąca na porządku dziennym postawiła.

To też wydanie powyższego pożytecznego studjum jest prawdziwą zasługą przed społeczeństwem polskiem ze strony ruchliwego wydawniotwa „Księgarni Kroniki Rodzinnej".

T. R.

Pren. kwart. **480,** półr. **960,** rocznie **1920.** Zagranicą **2880.**
Ceny ogłoszeń: 1 str. za tekstem **60.000,** ½ str. **30.000,** ¼ str. **16.000,** ⅛ str. **10.000,** 1/16 str. **6.000 mk.** Konto czek. w P.K.O. Nr. 3105

Pren. i ogł. przyjmuje Hurtownia pism „Oświata", **Zgoda 5,** tel. 263-02.
REDAKCJA: KOPERNIKA 23, II piętro, tel. 91-76.
Redaktor i wydawca: I. O. GRABOWSKI.
Godziny przyjęć: codziennie od 4—6 prócz niedziel i świąt.

Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15.